

Ludwika Justyniak

Najważniejszy dzień mojego życia

Mam 91 lat i w długim moim życiu takich dni, które decydowały o dalszych losach moich i moich bliskich było wiele. Trudno dziś powiedzieć, który z nich był najważniejszy. Jeżeli dzisiaj piszę wspomnienie pod tym tytułem, to czynię to w ślad za moim synem, który po przybyciu z Grodna do Warszawy w 1942 r. zamieszkał w bursie RGO założonej przez profesora Mojcho z Uniwersytetu Stefana Batorego. Była to bursa dla wysiedlonych chłopców, których rodziny nie miały własnego mieszkania i kątem gnieździły się przy rodzinie lub znajomych. Młodzież w wieku 12 - 18 lat (mój dwunastoletni syn był najmłodszy) miała wspaniałych, mądrych wychowawców, dbających o właściwe kształtowanie młodych charakterów. Wiosną 1944 r. jeden z wychowawców zadał młodzieży wypracowanie pod takim tytułem. Syn opisał wtedy nasze przejście granicy w 1940 r., i chociaż inni chłopcy byli dużo starsi, właśnie jego praca zyskała duże uznanie. Dostał drugą nagrodę i 100 złotych, a więc radość była wielka. Miałam to wypracowanie otrzymać po wydrukowaniu w piśmie literackim, ale nim to nastąpiło, wybuchło powstanie. Mój syn poległ jako żołnierz batalionu Chrobry I, gdyż wszyscy chłopcy w bursie, bez względu na wiek, poszli walczyć o wolną ojczyznę.

A teraz wracam do mojej opowieści. Rok 1939: mój mąż, major 76 pp, już 25 sierpnia wyjechał z pułkiem na front, a 13 września DOK i resztki Wojska Polskiego opuściły Grodno. Pierwsza trudność to opuszczenie koszar i znalezienie mieszkania w mieście, co w tym czasie nie było takie proste dla tylu wojskowych rodzin. Wiedziałam już od wracających podoficerów z rozbitej armii, że mój mąż poległ, więc odpowiedzialność za los dzieci spadła tylko na mnie. Przyjął mnie do siebie emerytowany profesor gimnazjum, pan Krzywonos, oczywiście za zgodą właściciela budynku, Białorusina (nazwiska ani adresu niestety nie pamiętam), który przez cały okres mojego zamieszkiwania opiekował się mną. Wiele serca i dobroci od niego i jego żony zaznałam w okresie, gdy współlokator z żoną wyjechali do Warszawy.

Po wkroczeniu wojsk radzieckich 20 i 21 września rodziny wojskowe, tzn. żony z dziećmi, opuszczały Grodno, korzystając z ogólnego zamieszania, słabego zabezpieczenia nieustalonej jeszcze dokładnie granicy, i udawały się do późniejszej

Generalnej Guberni, przeważnie do Warszawy. Informowali mnie o tym tzw. przewodnicy, którzy przeprowadzali uciekinierów za opłatą, jeszcze wtedy niewielką. Pociągiem jechało się tylko do Białegostoku, a potem bywało różnie, czasem konieczny był kilkukilometrowy marsz. Ja niestety nie mogłam tego uczynić, byłam w siódmym miesiącu ciąży. Z rodzin oficerów naszego pułku pozostałam chyba jedyna.

13 grudnia, skazana na niesamowite szykany w bolszewickim już szpitalu, urodziłam córkę. Gdy po czterech dniach opuściłam szpital, byłam w zupełnie dobrej formie i wierzyłam, że po Bożym Narodzeniu będę mogła ruszyć w drogę, gdyż ciągle jeszcze przewodnicy przeprowadzali chętnych, choć za dużo wyższą opłatą. Tymczasem po świętach sypnął obfity śnieg, a po Nowym Roku nastąpiły silne mrozy. Całkowicie ustały jakiegokolwiek próby przechodzenia przez granicę. W grudniu rozpoczęły się pierwsze aresztowania. W pierwszej kolejności dotyczyły one prokuratorów, sędziów, osadników wojskowych, w lutym zaczęła się wywózka na Syberię rodzin uprzednio aresztowanych. Jakież to były ciężkie i okrutne czasy! Kto tego nie przeżył, choćby jako świadek, nie zrozumie, jak przeżywaliśmy te chwile, tym więcej że Grodno nie było wówczas dużym miastem, znaliśmy się tam wszyscy, cała inteligencja, przed wojną spotykaliśmy się często w kasynie garnizonowym na różnych imprezach.

Minęła ciężka zima, przebąkiwano o nowych planowanych wywózkach. Zdałam sobie sprawę, że najwyższy czas, aby spróbować wszystkich możliwości przejścia granicy. Nawiązywałam kontakty z byłymi przewodnikami, niestety bez rezultatu. Wszyscy aktywnie działający odmawiali tłumacząc, że w panującej sytuacji nie jest to już możliwe. Granica była pilnie strzeżona, zagrodzona podwójnymi drutami, nikt nie chciał ryzykować. Byłam załamana, szukałam możliwości przejścia za wszelką cenę, aż wreszcie zaświtała nadzieja. Dowiedziałam się, że u żony sierżanta 81 pp zatrzymuje się co dwa tygodnie przewodnik z Warszawy i zabiera nową grupę. Nie znałam tej osoby, ale mimo to złożyłam jej wizytę i prosiłam o powiadomienie o przyjeździe gościa, zaznaczając jednocześnie, żeby o mojej prośbie nic nie mówiła. Nie czekałam długo, po kilku dniach doszło do spotkania. Był to sierżant KOP, znający wszystkie tajne ruchy służb granicznych, nazywał się Witanowski. Powiedziałam mu, kim jestem i co skłoniło mnie do spotkania z nim. Wówczas dowiedziałam się, że mieszka stale w Warszawie i jest już zaprzysiężonym członkiem ZWZ. Z rozkazu

organizacji systematycznie przeprowadza ludzi zagrożonych nie tylko aresztowaniem, ale i wyrokami śmierci, policjantów, straż graniczną itp. Grupa, którą każdorazowo zabiera, składa się przeważnie z pięciu młodych, zdrowych mężczyzn, zdolnych odbyć kilkunastokilometrowy nocny marsz. Nie mówiąc nic o dzieciach zapewniłam go, że dla mnie to żaden problem, że wielokrotnie mój mąż zabierał mnie na nocne ćwiczenia, że dobrze znoszę takie marsze i dobrze się orientuję w terenie, gdyż tak istotnie było. Gdy uzyskałam jego zgodę, oznajmiłam mu, że mam dziesięcioletniego syna, harcerza również zaprawionego w marszach i ręczyłam, że nie sprawi żadnego kłopotu. Chwilę dumał, ale zgodził się. Ośmielona tak łatwym zwycięstwem wyznałam, że mam jeszcze czteromiesięczną córeczkę, którą sama poniosę i zapewniłam, że wytrzymam ten marsz. Zaniemówił, milczenie trwało bardzo długo, patrzył na mnie, a ja z błagalnym wzrokiem czekałam na trudną dla niego decyzję. Czas ten zdawał mi się nieskończony. Wreszcie zapytał, czy zdecyduję się na następujące warunki: pojadę z nimi, wskażą mi kierunki, noclegi, z daleka będą roztaczać opiekę, lecz w razie zagrożenia zostawią mnie bez pomocy, bo schwytanych mężczyzn czeka natychmiastowa śmierć, natomiast kobietę z dzieckiem aresztowanie i wywózka. Czy miałam inny wybór? Bez namysłu się zgodziłam i odeszłam z zapewnieniem, że po opracowaniu planu zgłosi się do mnie w ciągu trzech dni, ja zaś miałam być gotowa. Zaznaczył jeszcze, bym nie zabierała żadnych dowodów stwierdzających, że jestem żoną oficera. Zatrzymana jako osoba cywilna zostanie wywieziona na Syberię, a jako żona oficera do więzienia, a potem do łagru. Zapytałam o honorarium. Byłam przygotowana materialnie, gdyż sprzedawałam wiele osobistych rzeczy, znając cenę przewodników, którzy przed Bożym Narodzeniem żądali od osoby po 300 zł. Była to jedna pensja porucznika. Na moje pytanie uśmiechnął się i powiedział: "O tym porozmawiamy, jak pani przejdzie". W wyznaczonym terminie przyszedł i oznajmił mi, że następnego dnia o godzinie szóstej rano mam pojechać do Białegostoku i tam, powołując się na niego, zgłosić się do mieszkania pod wskazanym adresem. On i chłopcy mieli pojechać osobno, każdy oddzielnie. Wieczorem miał przyjść po mnie z dalszymi instrukcjami.

Dojazd do Białegostoku nie był żadnym problemem i każdy mógł podróżować bez przeszkód. Tam wzięłam bryczkę, która zawiozła mnie pod wskazany adres. Gospodyni domu bez zdziwienia przyjęła mnie, nakarmiła, wskazała łóżko dla odpoczynku i tak czekaliśmy do późnego popołudnia. Gdy przyszedł, otrzymałam

bardzo trudne zadanie. Oznajmił, że niestety żaden pociąg dla cywilnej ludności nie kursuje w kierunku granicy Generalnej Guberni. Jest tylko jeden wojskowy pociąg o osiemnastej, na który nie sprzedają biletów. Tym pociągiem oni pojadą, może za pośrednictwem maszynisty uda im się wejść na węglarkę czy do lokomotywy. Ja z dziećmi muszę się dostać do wagonów z wojskiem. Nie będzie to na pewno łatwe, ale może się uda. Mam wysiąść na stacji, której nazwy już dziś nie pamiętam. Tam pozostali będą czekali na mnie i dojedziemy do odległego o 4-5 km Zambrowa, gdzie nie ma linii kolejowej.

Gdy przybyłam na dworzec w Białymstoku, pociąg pełen wojska stał już na peronie. Wagony starego typu miały wejścia bezpośrednio do każdego przedziału, nie było korytarzy między przedziałami. Wsiadanie mogło wydawać się łatwiejsze, ale w moim przypadku było to utrudnione, bo byłam narażona na bezpośrednie zetknięcie z żołnierzami i potrzebowałam ich zgody na podróż z nimi.

Pierwsze próby dostania się do pociągu nie powiodły się. "Won", trzaśnięcie drzwiami, i szłam dalej wzdłuż pociągu uspokajając płacz dziecka, aż wreszcie bezczelnie wskoczyłam na stopnie, chwyciłam silnie drzwi i nie dawałam się zepchnąć najbliższej siedzącemu. Jeszcze moment i leżałabym na peronie, gdy z głębi przedziału usłyszałam łagodny głos: "Ostaw rebionka". Ktoś pomógł wejść mnie i synowi, zrobiono mi miejsce na ławce, pociąg ruszył, odetchnęłam z ulgą i dziękowałam w myślach Bogu za pokonanie pierwszej przeszkody i prosiłam o dalszą pomoc.

Chwila ulgi i nowe zmartwienie. Nie znałam tej trasy, zapadał zmrok, stacje nieoświetlone, nie było kogo zapytać, gdzie wysiąść, siedziałam daleko od okna. Zmobilizowałam Staszka (syna), żeby uważał. Na szczęście nasza stacja była lekko oświetlona, wysiedliśmy szczęśliwie, pociąg ruszył, ale poza dyżurnym ruchem nie było tam nikogo. Tamci chyba nie wsiedli, co więc dalej zrobić?. Chodzimy niespokojnie po peronie, czas upływa, wreszcie, wśród ciemności, z boku stacji jakaś sylwetka daje mi znaki, zbliżam się, a to mój przewodnik. Nie mógł wcześniej podejść, bo bał się oświetlonego peronu, po którym cały czas krążyłam. Teraz szybko do cienia, jak najdalej od stacji, czeka już na nas zamówiona furmanka. Jedziemy szybko w stronę Zambrowa. Gdy oświetlone ulice pokazują się na horyzoncie, wysiadamy. Po odprawieniu furmanki mój przewodnik wyjaśnia przyczyny. Zambrów jako przygraniczne miasto ma dużą załogę wojska rosyjskiego i bardzo liczne patrole krążą

po ulicach całą dobę. Nie dałoby się przejechać bez zatrzymania, musimy więc w ciągu nocy okrążyć miasto i rano być w umówionym punkcie. Nie pójdziemy drogą, bo to niebezpieczne, tylko przez pola, omijając wioski.

To był bardzo ciężki marsz, szczególnie dla mnie, niosącej przed sobą dziecko. Nie było wówczas takich dziecięcych nosidełek na plecach jak obecnie. Moja córeczka jeszcze nie siedziała, niosłam ją zawiniętą w becik, sama okryta chustką, która podtrzymywała becik z przodu, co szalenie utrudniało marsz. Wciąż zostawałam w tyle, co jakiś czas pozostali maszerujący musieli czekać na mnie, denerwując się, że przed świtem nie zdążą. Natomiast Staś świetnie sobie radził, często wyprzedzając dorosłych. Prosiłam o chwilę odpoczynku, wtedy jeden z uczestników wziął ode mnie becik i ruszyliśmy szybciej. Niestety był to już dwudziesty dzień kwietnia i noc nie była długa. Wkrótce zaczęło świtać, a my byliśmy jeszcze daleko od celu. Kiedy nasze sylwetki stały się widoczne z daleka, przewodnik zdecydował, że nie możemy iść dalej i musimy poczekać do wieczora. Oni ukryją się w stogu siana, a ja mam iść do wsi i prosić o gościnę jakiegoś gospodarza. Może kobiety z dzieckiem nie zatrzyma żaden patrol? Mężczyźni postanowili czekać, aby zobaczyć, w której chacie przyjmą mnie, aby wieczorem zabrać mnie w dalszą drogę.

Ruszyłam sama ze Staszkiem. W dwóch pierwszych chatach stanowczo mi odmówiono, bojąc się represji za przetrzymywanie uciekinierów, bo patrole krążyły często. Zrozumiałam, że spotka mnie to samo w każdej chacie, toteż w trzeciej, dosyć oddalonej od pozostałych, zapytałam gospodarza, czy pozwoli mi wejść na chwilę, bym przewinęła i nakarmiła dziecko. Poprosił do kuchni, wskazał ławę blisko drzwi i czekał, bym prędzej wyszła. Tłumaczył, że ma już gorzkie doświadczenie, bo jego ojca zastrzelili na jego oczach właśnie za przenocowanie takiej rodziny. Stał nade mną i czekał, bym jak najszybciej wyszła, a ja nie śpiesząc się zastanawiałam się, jakimi sposobami uzyskać jego zgodę na pozostanie. Dni były już takie długie! Wreszcie oświadczyłam, że nie wyjdę, chyba że użyje przemocy wobec bezbronnej kobiety z dziećmi i mnie wyrzuci. Zapewniłam go, że niczego więcej nie żądam, wystarczy ta ławka przy drzwiach. Jeśli wejdzie patrol czy ktoś obcy, natychmiast oświadczę, że weszłam na chwilę przewinąć i nakarmić dziecko bez zgody gospodarza i że zaraz wyjdę. Podumał chwilę i odszedł, potem przyniósł mleka. W południe dostaliśmy zupę z chlebem, na szczęście nikt obcy nie przyszedł. Dzień dłużył się niesamowicie,

zmęczona całonocnym marszem zazdrościłam chłopcom spania w kopcach: byli głodni, ale spali. Mój Staś również spał, zwinąwszy się na ławce jak piesek. Byłam już na skraju wytrzymałości. Widząc to gospodarz, w porozumieniu z żoną, która nie wtrącała się do niczego, zaprowadził nas do sypialni i tam pozwolił położyć się bez rozbierania. Powiedział, że idą do pracy w polu, zamkną chałupę, żebym była bezpieczna, i wrócą wieczorem.

Gdy tylko zapadł zmrok, zjawił się mój przewodnik. Wręczyłam gospodarzowi 100 złotych i ruszyliśmy w dalszą drogę. Nie było już daleko, chyba po dwóch godzinach marszu byliśmy na miejscu. Był to opłacany przez organizację stały punkt sierżanta Witanowskiego, taki jak w Białymstoku i Grodnie. Tam najważniejsze: kąpiel dla dziecka i dla nas, kolacja i łóżko. Pan Witanowski w drugim pokoju, gospodyni z mężem w kuchni, chłopcy na strychu. Nim się zbudziłam, Witanowskiego z chłopcami już nie było. Co dalej? Żadnych dyspozycji nie otrzymałam, czyżby nas zostawił? Ale gospodarz, nakrywając do śniadania, uspokoił mnie, że on otrzymał wytyczne. Mamy dużo czasu, nie trzeba się śpieszyć ani denerwować. Jest niedziela, pojedziemy furmanką, niby do kościoła na sumę, nikt nas nie zatrzyma i spokojnie dojedziemy do leśniczówki na ostatni punkt przed granicą.

Gdy później gospodarz zaprzęgał konie, jego żona ubrała nas odpowiednio, byśmy się nie różnili od miejscowych. Staś zdjął kożuszek, dostał jakiś kabat i czapkę, ja chusteczkę na głowę. Usiadłam wraz z gospodynią na tylnym siedzeniu, a Staś z powożącym gospodarzem na przedzie. Gdy wjechaliśmy na drogę, ruch był znaczny, jak to na wsi w niedzielę w kierunku kościoła. Spotkaliśmy dwukrotnie kilkusobowe straże radzieckie, ale nikt nas nie zatrzymywał. Gdy skręciliśmy w stronę lasu, było już pusto. Spokojnie dojechaliśmy na miejsce, ale tam leśniczy natychmiast zamknął drzwi i stanął na warcie, a żona z pomocą mojego gospodarza odsunęła w kuchni szafę, która zakrywała drzwi do ciemnej komórki, w której kiedyś przetrzymywano żywność. Były tam tylko półki, nieduża ławeczka i stołek, ledwo mieszczący się w tej ciasnocie. Dostałam mleko i kanapki, i weszłam z dziećmi do komórki, by do wieczora czekać na przewodnika i ostatni już marsz do granicy. Otrzymałam surowe polecenie pilnowania dziecka, aby nie płakało, zdarzało się bowiem często, że wpadała straż graniczna, czy to na herbatę czy to pod różnymi innymi pretekstami. Zamknięto za nami drzwi, zasunięto szafę, poczułam się jak w więzieniu. Staś na ławeczce znów zwinął się jak